



KRZYSZTOF BONK

ARENA

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

ARENA

cykl Pendorum

część I

© Copyright by Krzysztof Bonk

Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-947-0

Wydawnictwo: self-publishing

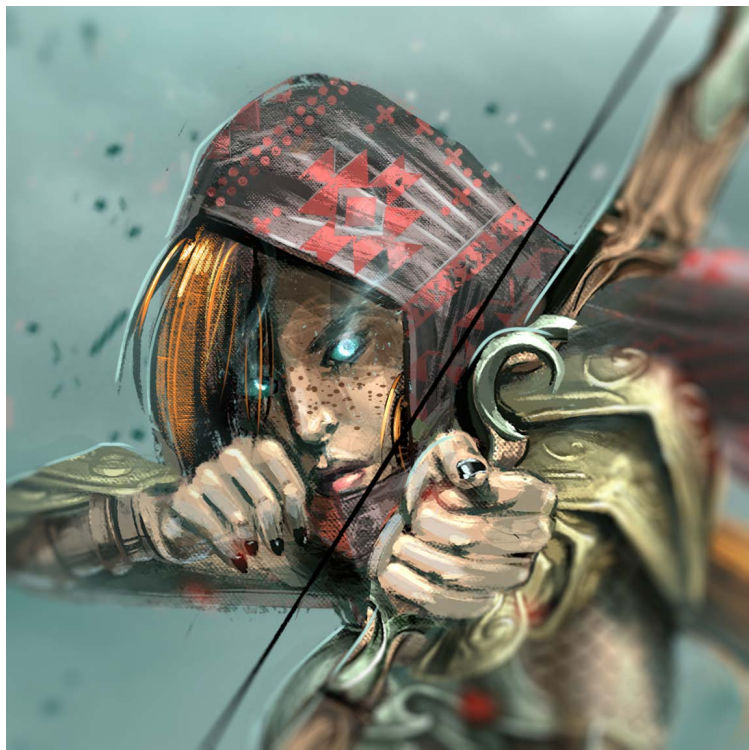
e-wydanie pierwsze 2018

Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

JESTEŚ KIM BYŁAM, BĘDZIESZ KIM JESTEM



Ku pamięci Mason Purcell, aka Fawzia dokhtar-i-Sanjar



I. ARENA

Wije porywisty wiatr i pada rześisty deszcz, które współ smagają mnie niczym wilgotnym biczem. Mnie, czyli drobną, rudą i piegowatą dziewczynę. Jednak przede wszystkim niewolnicę, zziębniętą i zamkniętą w drewnianej klatce na jednym z wozów. Ten, zaprzężony w dwa woły, z trudem pokonuje w kondukcje błotnistą drogę. Lecz moja droga przez życie wcale nie jest łatwiejsza, o nie. Zabici bliscy, spopielona wioska, pozostawione za sobą pot, krew i łzy. Wszakże się nie poddaję, na przekór wszystkiemu wciąż istnieję, a razem ze mną moje dziedzictwo i posłannictwo zarazem, tak. Winni zostaną ukarani tymi oto wątłymi rękami, które teraz kurczowo ściskają omszałe drewno – więżące mnie kraty. Ta myśl daje mi siłę, nadzieję i wiarę oraz nadaje sens istnieniu w kolejne naznaczone cierpieniem dni.

Z przegniłych łąk zatopionych w jesiennej szarudze przenoszę wzrok na panoramę wyłaniającego się w oddali wielkiego miasta. To zbudowana z kamienia i marmuru stolica Terraticos, cesarstwa, jednego z pięciu władztw kontynentu Pendorum.

Na horyzoncie dominują potężne, niezdobyte mury

wysokie na kilkunastu ludzi, które swym ogromem wręcz przytłaczają widnokrąg. Ponad nimi piętrzą się białe i szare szczyty budynków. Wśród ich zarysów wyróżnia się cesarski pałac na wzgórzu otoczony kolumnami, nieopodal zaś wznosi niebotyczne Koloseum.

Jednakże ja sama zmierzam prosto na targ niewolników, miejsce, z którego mam trafić do czyichś rąk, niczym zakupiony przedmiot, rzecz. Jeżeli natomiast nie znajdzie się na mnie kupiec, wówczas z podobnymi sobie istotami będę oddana wprost na arenę na krwawą rzeź. Tam, ku uciesze gawiedzi, rozerwana zostanę przez dzikie zwierzęta, zmasakrowana w nierównej walce, bądź zgwałcona na oczach tysięcy czy wbita na pal, jeśli taką wyznaczą mi śmierć. Jedno jest pewne, a mianowicie nie czeka mnie tam nic dobrego, o nie.

Następnie, zamiast podziwiać zarys wielkiego miasta, spoglądam na dziewczynę w ubłoconym, drelichowym worku – obskurny stroju podobnym, jak mój. Tak samo, jak ja siedzi ona w klatce i czeka na nowe rozdanie kart przez los. Mimo pyszałkowatych uwag nie jest w stanie ukryć ogarniającej ją trwogi. Jej pełne usta drgają nerwowo, a krągłe piersi pod szarym materiałem coraz szybciej falują. Bezwiednie odgarnia skołtunione, krucze i kręcone włosy, a także drapie czyraki na ręku. Widzę, że im bardziej się lęka, tym wzgardliwsze posyła mi spojrzenia, pragnąc mnie upokorzyć i dodając tym sobie odwagi.

Ja sama z kolei odbieram wrażenie, zupełnie jakbym dosłownie zapadała się w sobie. Odkąd pamiętam,

przeżywam chwile, gdzie wygasają we mnie wszelkie uczucia, emocje, a wtedy moje ciało wypuszcza z siebie na wielki świat czystego ducha. Potrafi on wznieść się wysoko i szybować w nieograniczonej przestrzeni niczym przezroczysty, niewidzialny ptak. I czyni to także teraz.

Już nie spoglądam na stolicę Terraticos z poziomu wozów. Obecnie podziwiam ją z lotu ptaka, którego nie mają się ani rześiste krople deszczu, ani też porywisty wiatr. Widzę nieprzebrane rzędy prostokątnych budynków o białych barwach. Przypominają one wyspy pomiędzy którymi, jak kolorowe rzeki, wiją się całe zastępy maszerujących ludzi.

Na moment wzlatuję ponad poziom gęstych, granatowych chmur, aby doświadczyć bezkresu błękitnego nieba oraz spojrzeć w zawieszone na nim złociste słońce. Zaraz potem nurkuję w dół i jestem już na targu pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Patrzę na nieznane mi owoce, warzywa, a także przyprawy oraz inne dary natury, od których aż uginają się obszerne stragany. Spoglądam na owce, kozy i osły oraz chłonę egzotyczne zapachy pokazowo zapalanych kadzideł, którymi wabi się klientów. Słyszę również ludzki zgiełk: wyławiam płacz dziecka, żebrzące prośby o jałmużnę, gwarne nawoływania czy puste śmiechy. I nagle znowu całą sobą jestem zamknięta w klatce na wozie. Mój wyzwolony duch powraca do zniewolonego ciała.

Odczuwam, że szarpie mnie za ramię dziewczyna z naprzeciwwka, po czym uderza otwartą dłońią w twarz. Próbuje zadać mi kolejny cios, ale tym razem zdecydowanie

chwytałem jej dłoń. Spogląda na mnie z niechęcią i przez chwilę się waha, zastanawiając, czy iść ze mną na konfrontację. Krzywi się paskudnie na pyzatej twarzy, ale daje za wygraną i cofa do swego kąta w klatce.

A zaraz gniewnie posykuje, nazywając mnie czarownicą, której nagle rozświetlają się oczy. Złowrogo wspomina o swoim bracie należącym do Zakonu Lancy Czarного Orła. Zarzeka się, że takie ohydztwa, jak ja, zakonnicy obdzierają żywcem ze skóry i podpalają na stosie. Gdy zaś wychodzi z ofiar demoniczna dusza, przyzywają czarne orły, które ostatecznie unicestwiają eteryczne istnienie heretyków. Dobitnie zaznacza, że to kres mrocznych pomiotów. Zakatowane wiedźmy zostają odesłane wprost do Otchłani skąd nie ma powrotu.

Po tym wywodzie dziewczyna w kruczonych włosach spluwa mi siarczyście w twarz i zaciska ręce gotowe do walki, jeśli sama zaatakuję. Ale ja tylko ocieram szorstką tkaniną rękawa policzki i czoło. Nie uśmiecham się cynicznie, nie szczerzę zębów w gniewnym grymasie. Po prostu odwracam wzrok. Właśnie przekraczamy zdobioną rzeźbieniami bramę wielkiego miasta.

Sklepienie w kształcie łuku pokrywają kunsztownie wyryte w marmurze dumne postacie wodzów ze wzniesionym orężem. Towarzyszą im mniejsze wizerunki szeregowych żołnierzy i gladiatorów. Są tu też liczne napisy, których nie rozumiem.

Tak, nie umiem pisać ani czytać. Do niedawna nie wiedziałam nawet, że istnieje coś takiego, jak pismo. Tajem-

nicze znaki, którymi ludzie potrafią wyrażać własne myśli, doprawdy niezwykła dla mnie rzecz.

Tymczasem wóz mija kolejne zatłoczone ulice, które widziałam już z lotu ptaka. Dlatego wiem, że szybko zbliżamy się do celu, czyli na targ, którego część wydzielona jest do sprzedaży ludzi, obecnie takich, jak ja, niewolników.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia zmęczonym głosem mój właściciel, który nie tak dawno nabywa mnie w porcie i wstrzymuje on parę wołów. Mężczyzna ten jest już postarzały z włosami i brodą w całości pokrytymi siwizną. Na prawym policzku ma długą, silnie wypukłą bliznę, do tego liczne, srebrne kolczyki w uszach. Oczy ma zielone, a wzrok bezwzględny, za pasem zaś klucze do kajdan, a w rękę dzierży bat. Ubrany jest w szarą tunikę kiepskiej jakości pokrytą do kolan wilgotnym błotem.

Schodzi on ociężale z wozu i kluczem otwiera drewnianą klatkę. Gestem ręki wskazuje nam, abyśmy wyszły na zewnątrz, co niniejszym czynimy. Gdy we dwie stajemy naprzeciw niego, ogląda nas dokładnie od stóp do głów i zde gustowany spluwa w kałużę, gdzie krople deszczu czynią rozliczne kręgi. Następnie gwałtownie rozrywa ubranie mojej współtowarzyszki niedoli, czyniąc to na wysokości jej klatki piersiowej. Waży w dłoni jej obnażone, pełne piersi i na jego krzywych ustach pojawia się cień satysfakcji.

Niebawem my, niewolnice, stoimy wspólnie w łańcuchach oplatających nam ręce i nogi pod poszarzałą, splekaną ścianą, gdzie wystawia się ludzki towar. Nasz wła-

ściciel z kolei zasiada na pobliskiej, zadaszanej ławie i popijając wino z glinianego kubka, łapczywym wzrokiem lustruje okolicę w oczekiwaniu na potencjalnych klientów.

Ci jednak przechodzą koło nas z reguły nawet na nas nie spoglądając bądź obrzucając wzgardliwym spojrzeniem. Czasem któryś z mężczyzn dłużej ogniskuje wzrok na nagich piersiach dziewczyny koło mnie, ale zaraz odchodzi dalej.

I tak ranek przechodzi w południe i powoli zbliża się zmierzch, czas, kiedy targ zostaje zamknięty na kolejny dzień. My zaś nieustannie stoimy głodne, zziębnięte na bosych stopach w cieczy, gdzie woda z deszczówki miesza się z naszym własnym moczem.

Aż wreszcie wzbudzamy zainteresowanie pewnej pary. Kobieta oraz mężczyzna w średnim wieku za to w wykwinnych tunikach zatrzymują się przed nami, a ich sługa dzierży nad nimi obszerny, bładoniebieski baldachim chroniący od deszczu.

Nie mija chwila, a pojawia się koło nich nasz właściciel. I jak umie zaczyna zachwalać swój towar, wskazując najpierw na dziewczynę, z którą dzieliłam uprzednio miejsce na wozie:

– Jest młoda, jest zdrowa. – Chwyta ją ordynarnie za szczękę i pokazuje w większości białe, równe zęby. – Zdrowa i płodna. – Obmacuje bujne piersi z różowiącymi się sutkami. – Płodna i silna. – Klepie po zwalistych pośladkach oraz udach. – Silna i posłuszna. – Kładzie jej rękę na ramieniu, po czym ściąga na dół. Ona ulega i w akcie

pokory klęka, pochylając nisko głowę. Jest nagle, niczym inna osoba odarta z buty i zawziętości, które demonstrowała w drewnianej klatce. Ale to zrozumiałe. Jeżeli właśnie znajduje na sobie kupca, to nadchodzącej nocy uniknie swej okrutnej karni na arenie w sławetnym Koloseum.

– Może i na coś się nada... – mówi z pewnym zainteresowaniem mężczyzna z przybyłej pary i rozciera między palcami mokre, poskręcane loki dziewczyny.

– Sama nie wiem... – oznajmia z kolei leniwie towarzysza mężczyzny, poprawiając własne, zaczesane w wysoki kok blond włosy. – Na służbę do żadnego z domów jej nie weźmiemy, prezentuje się zbyt wulgarnie. Natomiast w polu ma kto robić. Nasi niewolnicy aż nadto się rozmnożyli niczym króliki z Favers. – Macha lekceważąco dłonią zdobną w drogocenne pierścienie oraz obrączki i zaraz dodaje: – Choć mnie osobiście nieco intryguje ta druga, mniejsza niewolnica... – Spogląda na mnie. – Jest jakaś inna, dziwna... Skąd pochodzi...?

– Aaa... – Trochę zdenerwowany właściciel rozkłada szeroko ramiona: – To prawdziwy unikat, choć niedoceniany – odpowiada z udawanym podziwem. – Pochodzi zaś ona... z odległej, zamorskiej krainy bez nazwy... A jej rodowodem są półdzikie plemiona... I może wygląda dość niepozornie, ale swoimi talentami może wniesić w każdy arystokratyczny dom powiew egzotyki oraz nowości...

– Ciekawe... – wyraża tym razem zainteresowanie przybyły mężczyzna. – Co takiego na przykład potrafi? Niech coś powie...

Na co właściciel załamuje ręce i przez zaciśnięte zęby wyciedza:

– Kiedy to... niemowa... Ale zaręczam, że zdrowa na umyśle, pojętna i usłużna. Rozumie polecenia...

– Hm... Może moglibyśmy przyuczyć ją do sztuki cyrkowej – zastanawia się na głos kobieta. – Do widowiskowej jazdy konnej, połykania ognia... Tak, aby zabawiała gości.

– Tak... – wtóruje jej w zamyśleniu arystokratyczny mężczyzna... – Wydaje się zwinna i ma coś niezwykłego w oczach jak magię... – Myślę, że możemy ją nabyć za trzy złote Aureusy. Co ty na to, kochanie...?

– Za dwa, Artusie, za dwa... W końcu będzie tresowana od podstaw. Wygląda na dość dziką. Na pewno nie gryzie...? – Kobieta ostrożnie wyciąga dłoń z pierścieniami na wysokość mych ust.

– Pocałuj... – posykuje do mnie właściciel i desperacko ściska w rękach bicz. Ja zaś wiem, że jeżeli zawiodę, to zanim odda mnie na arenę, na śmierć, to w akcie zemsty zedrze ze mnie skórę swym batem. Dlatego delikatnie całuję wyciągnięty ku mnie złoty pierścień, czym wywołuję pełen satysfakcji uśmiech na twarzy jego właścicielki.

A zaraz, pokazując batem na klęczącą koło mnie dziewczynę, ponownie odzywa się właściciel:

– Dorzucę jeszcze tę sztukę za... połowę ceny... One, te niewolnice, się znają i pragnąłbym sprzedać je razem...

– Hm... – Arystokratyczny mężczyzna spogląda na wilgotne, nagie piersi dziewczyny, z których miarowo skapują krople deszczu. Lecz w tym momencie kobieta prze-

chwytuje kierunek jego spojrzenia i nie pozostawia mu złudzeń:

– Wykluczone – oświadcza. – Uzgodniliśmy wcześniej, Artusie, że zakupimy co najwyżej jedną niewolnicę, tak było między nami postanowione.

– Racja... – przyznaje mężczyzna.

Na te słowa dziewczyna na klęczkach zaczyna nieśmiało łkać aż całkiem szlocha. Podnosi wykrzywioną grymasem bólu twarz na kobietę i desperacko łapie ją za długą, białą tunikę, szepcząc:

– Błagam... zaklinam...

W odpowiedzi elegancka kobieta z niesmakiem wyrывa swoją nieskazitelnie białą suknię z brudnych, dziewczęcych rąk. Natomiast właściciel bierze zamach batem, aby skarcić niewolnicę. Jednak ta niespodziewanie chwyta go za rękę i gwałtownie odpycha, po czym z zajądlnością rzuca się wprost na mnie. Wbija mi długie, brudne paznokcie w twarz i krzycząc, boleśnie rani moją twarz. Następnie bez opamiętania okłada mnie pięściami i wpija zęby w ramię.

Zaskoczona nie zdążam nawet zareagować, gdy wtem dziewczyna zastyga w bezruchu, niczym kamień. Chwyta mnie kurczowo, jakby się podtrzymując, aby nie upaść i powoli osuwa po moim ciele na wilgotne podłoże. Rozkłada się na nim niedbale i otwiera szeroko usta, spoglądając pustymi oczyma w granatowe niebo. Zaś spod jej pleców wypływa stróżka czerwonej krwi, która łączy się z deszczówką i spływa do pobliskich kanałów. W tej chwili w rękach właściciela dostrzegam długi nóż.

Spis treści

I. ARENA	7
II. KOSZARY GLADIATORÓW	25
III. TRENING	46
IV. TURNIEJ KU CZCI GRAGEZONA	63
V. POWRÓT	85
VI. IGRZYSKA KU CZCI AREZARA	99
VII. KOLEJNY POWRÓT	123
VIII. SŁAWA	139
IX. RAZEM CZY OSOBNO KU CHWALE BOGINI HARREMID	154
X. KONFRONTACJA KU CZCI AVENEDORA	174
XI. JESTEŚ KIM BYŁAM, BĘDZIESZ KIM JESTEM	196
XIII. BITWA	206
XIV. OKRĘT	221